Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 9. Stycznia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 2.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

DUMCIO MÓJ SĄSIAD.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

przez

SEWERA.

(*Ciąg dalszy.*)

Damy na kanapie szeptały między sobą dość głośno — mężczyźni z Trybulskim i Dumciem na czele ukazali się we drzwiach.

Skończyłem — panny miały uroczyste minki, mamy z kanapy mówiły:

— Ładnie, bardzo ładnie — zagrane z uczuciem i mechanizmem.

— Tak, bardzo ładnie, nie ma co mówić — dał się słyszeć ode drzwi bas papy Trybulskiego, lecz cóż nam przyjdzie z tych madrygałów? Nie lepiej to co wesołego?

Dumcio przyłożył dłonie do ust, wołając jak przez tubę:

— Mazur — i kontent z siebie cofnął się, raczej schował za drzwi.

Panny z oburzeniem spojrzały w stronę drzwi.

Usłuchałem Dumcia i z pod palców wybiegł mi Szopenowski mazurek.

Mamy z kanapy na znak, że się znają, kiwały w takt główkami — młodziutkie dziewczątka uśmiechały się do wiosny i życia tryskających z Szopenowskiego utworu. — Gieńcia raczyła mnie arystokratycznie lornetować, gdy wtem wylatujący z fraka Dumcio, włożywszy rękawiczki, stanął przed nią.

Gieńcia wzruszyła ramionami, nic nie odpowiadając.

— Ależ to nie jest mazur, lecz mazurek — tłómaczyła Dumciowi Piekarska z domu.

— Więc cóż? — odparł Dumcio — dla tego tańczyć po nim nie wolno?

— Nie wypada — zawyrokowała pani Trybulska.

— Moja pani — rzekł Dumcio — wiele to rzeczy nie wypada — a my robimy swoje.

— Proszę nie przerywać — przemówiła ostro Fruzia. Panny ją poparły i Dumcio cofnął się do muzyki, szeptając coś z klarnecistą, który zarazem był dyrektorem orkiestry.

Przy pierwszej pauzie, zaświszczał w powietrzu klarnet — flotrowers go poparł — basy zahuczały a skrzypki od ucha zagrały mazura. Dumcio podskoczył do Gieńci i prawie przemocą porwał ją do tańca.

— Kto w Boga wierzy za mną — zawołał. — Młodzież wysypała się z drugiego pokoju.

— Jesteś pan bardzo obrażony — szepnęła do mnie Fruzia.

— Przeciwnie — odparłem.

— Gdyby to było w Anglji...

— Wiele daleko gorszych rzeczy dzieje się w Anglji.

— Służę Pani! Pan Kaczkiewicz z długiemi faworytami, dumny, uśmiechnięty, pewny siebie, stanął przed Fruzią. Fruzia zanim podała rękę, rzuciła mi ostatnie pytanie:

— Musisz pan być zmęczony?

— Istotnie — odpowiedziałem. Wtedy Fruzia zwróciła się do Kaczkiewicza, aby się wpleść w koło tańczących.

Na dworze zrobiło się ciemno — stanąłem w jadalnym pokoju przy oknie, gdy na ganku dwóch sąsiadów gwarzyło, ciągnąc butelczynę obrączkowego węgrzyna.

— Ale też honorują tego wymuskanego gagatka — szepnął pierwszy.

— Cóż chcesz — pięćset morgów pszennej ziemi, ośmdziesiąt sześć łąk, dwieście dobrego lasu i długu na tem zaledwie dziesięć tysięcy złotych towarzystwa.

— I straci to wszystko, jak zacznie z książki w rękawiczkach gospodarować.

— Że nie straci, bądź spokojny — wie on jak trawa rośnie — ale prędzej mi włosy na dłoni wyrosną, nim pojmie Fruzię. Wiesz gdzie on zagląda?

— Pewnie do Wronowskiego dworu. A bo też to zarozumiałe!

— Mówił mi pachciarz Wronowski, że mu są tam radzi. Czy uwierzysz, że między Wronowem a Krzykawką latają posłańcy jak opętani, z nutami, książkami i listami.

— Bo prawda, że to chłopak gładki — gra, śpiewa, siedzi w książkach.

Widocznie sąsiad dowiedziawszy się o latających listach Wronowskich, zmiękł.

— Nawet raz Wronowskie panie zajechały konno do Krzykawki na kawę.

— Tego już za wiele. Psuć chłopaka a i tak ma przewrócone w głowie.

Zaszeleściała sukienka.

— Proszę pana — szepnęła Fruzia wyciągając do mnie rękę.

Wpadłem z Fruzią w podskokach mazura do salonu. Damy z kanapy zaczęły szeptać między sobą i złośliwie się uśmiechać.

Pan Kaczkiewicz wymyślił nową i oryginalną figurę! (?) Młodzież trzymając się za ręce otaczała damę, która rzucała chusteczkę do góry.

Kto ją w locie pochwycił, ten został wybranym tancerzem. Fruzia rzuciła. Wylatujący z fraka Dumcio popchnął towarzyszy, zrobiło się zamieszanie i chustka mnie się dostała. Pochwyciłem ją i z dumą pokazałem światu, podając rękę Fruzi. Młodzież ustąpiła — puściliśmy się w tan, przy szalonych wyścigach klarnetu z flotrowersem, oklaskach, któremi nas zaszczy-

cał Dumcio, szeptach dam z kanapy i łaskawym uśmiechu Piekarskiej z domu. Gieńcia raczyła nas lornetować. Trzeba fatalizmu, Trybulski w tej chwili wtoczył się do salonu.

— Panie Ignacy ostro. — Fruziu nie daj się — ha — ha. Śmiech basowy przeszedł po salonie.

— Abo by to panna Fruzia chciała się bronić — kiedy się nie broniła Wronowska dziedziczka — krzyknął Dumcio, przygłuszając szczęśliwie flotrowers z klarnetem i dla tego klarnet zamilkł, zrobiła się cisza — Fruzia była blada i nie śmiała na mnie spojrzeć — towarzyszki jej na nią. Gieńcia wachlowała się gwałtownie. Tylko damy z kanapy porozumiewały się wciąż wzrokiem, a i pan Kaczkiewicz gładząc znacząco faworyty, zatopił wzrok we mnie jak sokół szpony w zająca.

— Czy pan strzela? — rzucił mi pytanie przy wyjściu z salonu.

— Z dubeltówki mniej — z pistoletu zwykle daję dziennie po pięćdziesiąt strzałów.

— Ja zaś mój panie — odrzekł groźnie — trafiam wyrzuconą w górę piątkę...

— Uwielbiam i podziwiam pańską zręczność.

— I dlatego... — ciągnął dalej zacinając się — dlatego nie życzę sobie... — urwał.

— Czego sobie szanowny pan nie życzysz, kochany panie Kaczkiewicz? — spytałem.

— Abyś pan tańczył z panną Eufrozyną.

— Sądzę żeś pan z nią tańczył mazura.

— Lecz panna Eufrozyna pana wybierała.

— Nie wątpię, że jej tego pan zakażesz.

— Jeszcze nie mam praw do tego.

— Ani ja — zrobiłem uwagę.

— Mam nadzieję, że będę je miał.

— Wtedy jestem pewny, że panna Eufrozyna nie wybierze mnie nigdy.

— Z pewnością! — A przytem co znaczą te wykrzykniki o panu i pannie Eufrozynie?

— Radzę panu — szepnąłem do ucha pana Kaczkiewicza — wyzwij pan za te wykrzykniki papę Trybulskiego i Dumcia.

— Bo po co pan włazisz pomiędzy nas — poczciwą szlachtę? — rzekł z powagą. — Masz pan swoją Wronowską arystokrację, to pan z nią sobie siedź.

— To już mój panie zostaw pan mnie w tym względzie decyzję, a przyjmij z mej strony pozwolenie, bawienia się z całą szlachtą polską, jak również zaszczycania swem towarzystwem arystokracji europejskiej.

— Czy to drwiny? —mówił ponuro — patrząc mi w oczy.

— Nie — lecz rada za radę.

— Panie Ignacy, kieliszek wina — zahuczał z przyległego pokoju bas pana Trybulskiego.

— Nasze zdrowie — kochajmy się!

Wypiliśmy szacowne zdrowie »kochajmy się.«

— Nie turbuj się też tym Kaczkiewiczem, proszę cię — szepnął mi papa — ani sobie co rób z tego dzierżawcy. Myśli że ma faworyty, to już jest Anglikiem — a że komenderuje w mazurze — że wielki człowiek... Dzierżawka mała... Wprawdzie ziemia nie zła, tanio trzyma — ale rwałoby się to rwało, mój ty Boże, — sam nie wie gdzie.

— Pan Kaczkiewicz — rzekłem — jest przystojnym i sympatycznym młodzieńcem.

— Powiedz mu to jeszcze, — przerwał papa Trybulski, i przewróć mu do reszty głowę. A toż Dumcia trzy razy wolę...

— Dawno byłeś we Wronowie? — zmieniając raptem ton mowy zagadnął.

— Wczoraj — odparłem.

— Słyszę jeździsz tam często. Arystokracja wielka, a majątek odłużony po uszy. Nie ma to jak szlachecka średnizna; praca, gospodarność, oszczędność. Z tem można się majątku dorobić.

—Panie Ignacy, panie Ignacy — wołał szukając mnie Dumcio.

— Tutaj, tutaj — odpowiedział papa.

— Panie Ignacy, kochany, drogi — pilny interes, ale na osobności — mówił zadyszany a zdaje się przestraszony sąsiad.

— No dobrze, dobrze, bawcie się — rzekł protekcjonalnie papa — oddaję ci go, ale za to wypij nasze obywatelskie.

— Nasze obywatelskie — powtórzył Dumcio, pocałował papę Trybulskiego w ramię i wychylił kieliszek zabierając mnie z sobą na ganek, z ganku do ogrodu.

— Panie Ignacy, wiesz pan co się stało?

— Nie wiem, ale się domyślam.

— Nie domyślasz się, jak Boga kocham! Kaczkiewicz wyzwał mnie na pojedynek! Cóż pan na to?

Takiego rycerza?! Dziwię się jego zuchwałości.

— I ja, i ja — pochwycił Dumcio. Jakiś tam dzierżawca, mnie dziedzica Chwaczewa. Ani go nikt nie zna, ani nie wie kto rodzi i wyzywa sobie jakby orzech zgryzł.

— O cóż mu idzie?

— Ależ o głupstwo. Mówi, że ja ubliżam Fruzi, — dla tego bo powiedziałem, że się nie będzie panu broniła! Co on ma za prawo ujmować się za nią? Prawda, że nie ma prawa? Myśli żeby mu ją Trybulski dał!

— Cóżeś pan odpowiedział Kaczkiewiczowi?

— Com mu odpowiedział? Ha, odpowiedziałem jak powinienem.

— Naprzykład.

— Że tylko stary Trybulski i pan, macie prawo ujmować się za Fruzią.

— Co? ja? — wrzasnąłem oburzony do najwyższego stopnia.

— Tak — pan — cofając się przed mą natarczywością, mówił Dumcio, — boś się pan tak już zagalopował...

— Milcz pan — krzyknąłem.

— Cóż to zabronisz mi pan mówić? Musisz się pan oświadczyć o Fruzię, boś się zagalopował. A jak się pan oświadczysz to pojedynku nie będzie.

— Panowie, kadryl — dał się słyszeć głos Kaczkiewicza.

Dumcio się kopnął do dworu, zatrzymał się jednak w połowie drogi wołając:

— Musisz się oświadazyć, tak każe szlachecki honor... — i znikł.

Stałem zrozpaczony. Co tu robić, jak z tej kabały wyjść!

A gdybym się oświadczył? Fruzia ładna dziewczyna, zgrabna, lubiąca komfort — sprytna...

W tej chwili stanęli mi przed oczyma papa Trybulski z basem i ogromnym żołądkiem, mama ze wszystkiemi Piekarskiemi, Gieńcia tyjąca olbrzymio z każdym dniem! — A jeżeli Fruzia zakochana do szaleństwa?... Cóżby na to powiedział Wronów? — Fruzia bardzo ładna — Trybulski w kieszeni Weinberga.

Myśli jak błyskawice przelatywały, tworząc w głowie mej chaos, poszedłem do stajni wyszukać Walka.

Na placyku przed stajnią wrzała bójka. Walek mój okładał fornala Kaczkiewicza, fornal Dumcia potykał się z fornalem jednego z sąsiadów.

— A mój pan z panów — wołał Walek — a twój to pewnikiem Miemiec.

— To masz za Miemca.

Walek jęknął i potoczył się, — lecz w tej chwili odsadził się i tak częstował dzielnie przeciwnika, że go odrazu zwalił z nóg.

— A żebyś wiedział, że Miemiec.

— Walek kanalio, co ty robisz! —zawołałem jak mogłem najsurowiej.

Walek widocznie dobrze cięty, nie zmieszał się wcale.

— A to niech stuli pysk Wny panie i już.

— Zaprzęgaj!

— Zaprzęgać? — powtórzył z najwyższem zdziwieniem. — Cóżto Wny pan się ich boi, że chce uciekać po nocy?

— Zaprzęgaj, rozumiesz?

— Kiedy Wny pan ich się boi, to ja sam jeszcze wystarczę.

— Zaprzęgaj!

— Nie będę zaprzęgał, bo mi despet uciekać.

Nie było innej rady, należało przy pomocy fornala Kaczkiewicza, który się zwlókł z ziemi i dwóch innych zaprzęgać samemu.

Walek włożył ręce w kieszenie kierezyi, krakuskę przechylił na bakier i z miną filozofa patrzał na nasze usiłowania zaprzężenia czwórki szpaków do wózka.

— Kiej się pan boi, to ja se i bez pana dam radę, — powtarzał uparcie.

— Wielmożny panie, Walka trunek do cna rozebrał — mówił z cicha fornal z Guzówki. — I kiedy przyleciał tu lokaj ze dworu i mówił, że panowie pono mają się bić — jak się nie weźmie do Jędrka, jak go nie zacznie okładać, to o mało co duszy z niego nie wygnał.

— Potyrał mnie wielmożny panie, potyrał — mówił Jędrek kłaniając się.

— Co ty tam pomstujesz na mnie — odezwał się Walek.

Konie szczęśliwie zaprzęgliśmy.

— Jedziesz? — zawołałem na Walka.

— Ja tu zostanę pilnować, żeby kto wielmożnemu panu na honor nie nastąpił, kiej się wielmożny pan boi.

— To ty możebyś chciał do panów pójść? — spytał go fornal Guzowski.

— Żebyś wiedział, że pójdę.

— Chłopcy rubla, gdy zamkniecie Walka w stajni — zawołałem.

Fornale poskoczyli do Walka. Chłopak dzielnie się bronił, lecz ponieważ trunek do cna go rozebrał, uległ. Zaniesiono go na barach do stajni, drzwi zamknięto na skobel i założono kołkiem.

Posłałem po paltot i kapelusz — i pomimo ciemnej nocy powożąc się sam, wróciłem szczęśliwie do Krzykawki zagniewany na papę Trybulskiego, mamę, Gencię, Dumcia, Kaczkiewicza i Walka — tylko Fruzi przebaczyłem jej angielszczyznę i komfort a nadewszystko palące spojrzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZYCZYNA TZĘSIENIA ZIEMI

(Z POWODU KATASTROFY W ZAGRZEBIU)

napisał

BRONISŁAW REICHMAN.

II.

Wielu geologów podaje w wątpliwość ciekły stan wnętrza ziemi, a choć przypuszczenie to nie jest powszechnie przyjętem, jednakże niepodobna zaprzeczyć, że ma za sobą dość ważne argumenta.

Muszą oni jednakże przyjąć nadzwyczaj wysoką temperaturę w głębokości kilku mil pod powierzchnią i na tej zasadzie tworzą następującą hypotezę.

Woda przesiąka do znacznych głębokości, gdzie się zamienia na parę; gdy prężność jej, która jest nieograniczonej siły, dojdzie do pewnego stopnia, wyżej leżące warstwy ziemi ulegają jej naciskowi i następuje trzęsienie ziemi i wzniesienie lądów.

Jeśli są już gotowe pęknięcia w skałach, lub jeśli prężność par i gazów dojdzie do takiego natężenia, że może pęknięcie wywołać, pary, gazy i zmięszane z niemi masy roztopionej lawy, wyrzucane zostają na powierzchnię ziemi jako wybuch wulkaniczny.

Jednym z faktów, popierających tę hypotezę opartą na znanych prawach fizycznych i chemicznych, jest częstość trzęsień po deszczach i w okolicach wielkich wodozbiorów.

Ale choć nic w niej nie ma nieprawdopodobnego, jednakże nie ma też pozytywnych danych, dowodzących, że tak jest a nie inaczej.

Dodać tu musimy, że hypoteza ta miała i ma zwolenników nietylko pomiędzy przeciwnikami ciekłego wnętrza ziemi.

Bo po części i stronnicy tej ostatniej hypotezy, na zasadzie, że grubość skorupy ziemskiej jest większą od 10 mil (może 20 a może 30?) wolą szukać przyczyny zaburzeń w warstwach bliżej nas będących.

I oni więc uważają za bardzo prawdopodobne nagromadzanie się gazów i mas roztopionych w niższych warstwach ziemi i stosują je do tłómaczenia wybuchów i wstrząśnień wulkanicznych.

* * *

Najwięcej jednak cech prawdy ma pogląd najnowszy, który sobie coraz szerszą drogę toruje i pozyskał już większość współczesnych uczonych.

Nie tłómaczy on wprawdzie wszystkiego w sposób wyczerpujący i ma cechę hypotezy; ale hypoteza ta jest na dobrej drodze.

Badając jakieś zjawisko w sferze natury lub społeczeństwa, np. jakiekolwiek przestępstwo, uznajemy wtedy pewne przypuszczenie za uzasadnione, gdy wszystkie fakta są z niem zgodne, czyli gdy hypoteza obejmuje całą sferę znanych zjawisk cząstkowych, towarzyszących zjawisku głównemu.

Otóż ta, o której obecnie mówić mamy, odznacza się tą zaletą.

Uczeni rozważając mnogość różnorodnych i niekiedy sprzecznych z sobą zjawisk, pomyśleli, czy czasem nie mamy do czynienia z rozmaitemi przyczynami, wywołującemi jeden i tenże sam skutek.

Przecież znalazłszy np. dziesięciu ludzi nieżywych w różnych miejscach, wcale nie jesteśmy zmuszeni przypuścić, że przyczyna ich śmierci jest jedna i ta sama.

Jeden mógł umrzeć naturalnym biegiem rzeczy, drugi zmarzł, trzeci utonął, czwarty zginął z głodu, piąty został zaduszony itd.

Więc jeżeli znajdziemy u jednego twarz siną, u drugiego bladą, u jednego obrzęk wszystkich tkanek, a u drugiego wychudzenie, to jednak wcale nie zbieramy tych wszystkich cech w jedną całość, ani też na zasadzie statystyki nie wnioskujemy, że jest tylko jedna wspólna i ogólna przyczyna śmierci.

Toż samo należy zastosować i do kwestji trzęsienia ziemi.

* * *

Spojrzyjmy na kartę geograficzną, na której są specjalnie odznaczone okręgi najczęściej nawiedzane przez zaburzenia podziemne.

Zauważymy, że te miejscowości leżą już to w okolicach wulkanicznych, już też w górskich, szczególniej przerzniętych łańcuchami gór, nawet takiemi, które wulkanów nie posiadają.

Musimy więc przedewszystkiem oddzielić trzęsienia ziemi *wulkaniczne*, od trzęsień w okolicach *niewulkanicznych*.

Trzęsienia wulkaniczne są bardzo częste w okolicach mających „czynne“ wulkany; poprzedzają one wybuchy wulkaniczne i towarzyszą im.

Rezultaty tych trzęsień są straszliwe, jak np. w Herkulanum i Pompei, ale arena ich działania bywa stosunkowo małą.

Można więc poniekąd przyjąć z Humboldtem, iż wulkany są „wentylami bezpieczeństwa“ dla skorupy ziemskiej.

To jest jeden rodzaj, a do tłómaczenia zjawisk tej kategorji powołać się można na stopione wnętrze ziemi, lub na zbiorniki lawy, par i gazów w zbiornikach niższych warstw skorupy ziemskiej.

Obok trzęsień tej kategorji postawiła nowsza nauka drugą: trzęsień dyslokacyjnych albo tektonicznych.

Nazwano je tak dlatego, że powstają wskutek dyslokacyj (przesunięć) warstw skorupy ziemskiej, czyli wskutek zmian tektonicznych (układu budowy) w stosunkach skał; zmiany te nie mają żadnego związku ze zjawiskami wulkanicznemi, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

Do tej kategorji należą właśnie najczęstsze, najdalej sięgające, najstraszniejsze i najzgubniejsze trzęsienia.

Potężne, przechodzące wszelkie ludzkie pojęcie ciśnienie i parcie wzajemne kolosalnych pokładów skał, pękanie ich, obniżanie się w jednym końcu, a wznoszenie w drugim — od czego zależą *obserwowane i nie ulegające wątpliwości* wznoszenia się i obniżania lądów i gór — rozszerzanie się już istniejących przestworów i t. d., słowem wszelkie nagłe ustępstwo naciskowi, wszelkie nagłe zakłócenie porządku w stosunkach ułożenia skał, stanowią dostateczne przyczyny do wywołania trzęsienia ziemi.

A zjawiska takie, jakkolwiek wydają się tajemniczemi dla publiczności, są dla uczonych rzeczą znaną, zmysłami obserwowaną i teoretycznie zgodną z porządkiem biegu rzeczy, którego nas uczy cała fizjologja kuli ziemskiej.

Wszędzie jest nacisk ogromny, najczęściej od ciążenia planeta nasza ulega ciągłemu trzeszczeniu, drżeniu, a średnio wypadające dwa trzęsienia na dzień, to tu to ówdzie się zdarzające, są przeważnie wynikiem zmian tektonicznych.

Mniej więcej wszystkie okolice górskie, a przedewszystkiem przerznięte łańcuchem gór, podlegają tym zaburzeniom; z nich zaś najczęściej są widownią skutków zjawisk dyslokacyjnych zbocza zwrócone ku morzom, albo ku miednicowatym wygłębieniom.

W Alpach, najczęstszym i najsilniejszym wstrząśnieniom ulegają części otaczające łukiem kotlinę Adrjatyku.

* * *

A co jest przyczyną zmian tektonicznych? — zapyta czytelnik.

Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie za dalekoby nas zaprowadziła.

Przytoczymy jednak dla przykładu kilka możliwości, objaśniających powyżej wymienione zmiany.

Pokład pęknąć może wskutek kurczenia się; toż samo może nastąpić wskutek osłabienia spójności jego cząsteczek, np. przez wodę, gdy pod nim znajduje się jaskinia, a na nim ciężkie warstwy; może też połamać się pod ciężarem wierzchnich pokładów, jeżeli woda wymuliła pod nim skałę dotychczas jednolitą, która mu służyła za podstawę.

Dalej, w każdej skale odbywają się ciągłe zmiany, już to fizyczne (krystalizacja i t. d.), już też chemiczne (zamiana cząstek jednych na drugie), których bezpośrednim skutkiem może być parcie lub obluźnienie, wydzielanie lub pochłanianie ciepła, tworzenie się gazów i t. d.

Gdzie pokłady leżą w pierwotnem położeniu, poziomo, jak np. u nas, tam zmiany podobne, jeżeli się odbywają, mogą mieć przebieg bardzo spokojny, nieznaczny; ale tam, gdzie porządek warstw został w rozmaity sposób zakłócony, gdzie jeden koniec się podniósł a drugi obniżył, gdzie pokład oparty jest małą swą częścią, gdzie wskutek silnego parcia potężna skała została sfałdowana jak draperja, której zdwojenia mogą z biegiem czasu pęknąć,

*

okład obsunąć się — jednem słowem w góh — tam jest ogromna ilość przyczyn do an nagłych, do katastrof.

Fakta przytoczone o Alpach są w zgodzie em rozumowaniem.

*　　*　　*

Przy tak obfitym repertuarze możliwych ian w skorupie ziemskiej, nie można uogól- przyczyny trzęsień ziemi, chyba, że się dzimy na nic nie mówiącą frazę: „że trzęia ziemi powstają skutkiem zmian fizycznych iemicznych dokonywających się w łonie naj planety.“

Nie chcąc zaś zejść z właściwej drogi, muy dla każdego trzęsienia szukać specjalnej przyczyny, sprowadzając to zjawisko w jem wypadku, do pęknięcia pokładu, w drudo zawalenia się jaskini, jakby kopalni po bunku“, w trzecim do obsunięcia pokładu pokło leżącego ku dołowi, w czwartym do drgawywołanego przez wybuch par i gazów itd.

Która przyczyna w danym wypadku dzia-, tego wiedzieć nie możemy, z powodu, że ten proces odbywa się w niedostępnych dla zego oka głębinach; może nigdy nie zdołamy kowicie zbadać specjalnej przyczyny działaj w pewnym wypadku, może dopiero po kil- latach przypadek objaśni zjawisko dawno ione.. może wreszcie zdołamy sposobem ponim, za pomocą badań ruchów i dźwięków, ść do wniosków o naturze zjawiska podczas działania.

W tym kierunku prowadzą się prace, ale ekie są od wymaganych rozmiarów; dopiero cała kula ziemska gęsto pokryta zostanie erwatorjami, gdy liczba wykształconych człon- publiki znacznie się powiększy, gdy wreszsama nauka postąpi, wtedy będzie można rać odpowiedni do tego rodzaju rozumowań terjał.

Kto wie czy nie mikrofonowi przeznaczoa będzie odegrać ważną rolę w tem badaniu.

Może z wnętrza ziemi będziemy otrzymyli co godzinę, co minutę, telegramy o każdem uwaniu się, ba nawet o przyjmowaniu kryilicznej budowy przez skałę zbitą?

Kto to wie?

A jeżeli nie mikrofon, to może nauka da n inny przyrząd, który będzie dla nas szpiem podziemnym.

Teraz, gdy głos pisze a pismo mówi, nigoby już nie zadziwił przyrząd, któryby ryał lub dźwiękiem głosił rozmaite podziemne wiska.

Telefony, mikrofony, fonografy, zgęszczee gazów „niezgęszczalnych“ i tyle innych odyć i wynalazków, które nie doszły do uszu erokich kół publiczności, zatarły u nas wszelwrażliwość na „cuda nauki.“

Niczemu się nie dziwimy i nic nie uważay za niemożliwe.

Ale właśnie to osłabienie naszej wrażliwoi jest najlepszą wskazówką powszechnego zekonania o sile i wysokości, do jakiejśmy już oszli i do jakiej nas przyszłość woła.

Jeśli więc nad czem ubolewać należy, to e nad słabością umysłu ludzkiego, ale nad tem mu dotychczas nie dawano odpowiednich środów materjalnych, rozpraszanych na rzeczy nieożyteczne lub szkodliwe.

*　　*　　*

Bądź co bądź, odkrycie przyczyny trzęsienia ziemi będzie miało znaczenie teoretyczne, naukowe.

Może nawet osiągniemy jakieś uboczne rezultaty praktyczne, ale trudno przypuścić, żeby one mogły doprowadzić do wskazówek zabezpieczających od trzęsienia ziemi; siły bowiem natury są tak potężne, że wobec nich maleje genjusz człowieka do znaczenia inteligencji i środków najnędzniejszego robaka.

*　　*　　*

Tak, ten człowiek, który wykrada ziemi skarby mineralne, który przerzuca się z jednego lądu na drugi i wyszpiegowawszy tajemnice ludów, przenika przez zamurowane mrozem obszary; ten, który podbił siłę pary pod swą władzę, który rządzi rozprężliwością gazów prochu i dynamitu, którego myśl w jednej sekundzie świat obiega, który widzi i słyszy jak trawa rośnie — ten król przyrody jest muchą wobec orkanu, wobec wszelkich gwałtownych zjawisk przyrody.

Pomimo to, ten słaby robaczek nie przestaje być panem natury; słoń może zabić swego przewodnika, ale zawsze jest jego sługą.

Człowiek jest potężnym duchem, w którym się urzeczywistnia fantazja ludowa, nadająca czarnoksiężnikom władzę kruszenia gór, porozumiewania się przez tysiące mil, unoszenia się siłą wiatrów, podsłuchiwania tajemnic ziół i motyli.

I jest tem wyższy od czarodziejów, że gdy oni dostali wszystko gotowe, on dochodzi do celu własną swą pracą; kiedy im władzę odbierano, jemu odebrać nie można; kiedy oni kres swoich działań widzieli — przed człowiekiem otwiera się nęcące pełnią tajemnic siły i rozkoszy, najeżone trudnościami, lecz niezamknięte i prawie nieograniczone pole zwycięztwa.

I djabeł mu wcale do tego zaklętego świata niepotrzebny, on ma klucz do wszystkich drzwi Aladyna, a tym kluczem jest rozum i niczem nie zniechęcająca się energja.

On jak świdrak idzie gromadami na zniszczenie tamy ciemności — i ta tama powoli się kruszy; twardość żelaza nie zatrzyma go, on obchodzi je, ale idzie naprzód.

On dąży tam, dokąd rozum jego poprzedników nie sięgał i łamie to, o co łamała się ich siła.

I choć tak jak w bajce smoki i węże, straszą go na drodze do celu mary zwątpienia i pesymizmu; choć nieraz uchyliwszy zasłony Izydy, pada złamany, zbolały, ze spalonem od jej słonecznych promieni sercem, z porażonym umysłem; chociaż jak Juljan cezar rzuca ku niebu prawdy swą krew z rany zwątpienia i rozpaczy — jednakże wkrótce przywyka do rażącego blasku i nieprzeniknionej ciemni, i zebrawszy swe siły, które mu się tylko resztkami wydają, z nową, większą potęgą postępuje dalej, coraz wyżej zatykając sztandar swojego genjuszu na warownym zamku natury!

Zawsze naprzód!

To godło jest największą człowieka potęgą i to go nigdy nie zawiedzie!

WSPOMNIENIE Z PRZESZŁOŚCI.

JÓZEF ORSINI I Dr. BERNARD

napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(Dokończenie).

W miesiąc później już byłem w Londynie, gdzie się odegrał drugi akt tego dramatu, zaczętego w Paryżu. Na żądanie Napoleona III. Palmerston kazał uwięzić francuskiego doktora Bernarda, należącego do spisku Orsiniego. Taka powolność obcemu władcy, do najwyższego stopnia oburzyła dumę Albionu. Wszystkie dzienniki potępiły uległość pierwszego ministra królowej Wiktorji i z największą sympatją zaczęły odzywać się o sprawach zamachu 14. stycznia. Lecz nie tylko dzienniki, ale cały kraj zawrzał z oburzenia, gdy się dowiedziano, iż rząd francuski żąda wydania Bernarda sądom francuskim. „Przestępca jest na naszej ziemi, sądy więc angielskie winny go sądzić“. Krzyk gniewu narodowego był tak potężnym, że Palmerston jakkolwiek bardzo chcący uczynić zadość życzeniu Napoleona, musiał liczyć się z opinją publiczną i odpowiedzieć rządowi francuskiemu, żeby przysłano świadków, gdyż sprawa ta toczyć się będzie przed sądami przysięgłych w Anglji. Jadąc do Kew, dla obejrzenia botanicznego ogrodu, znalazłem się przypadkiem w jednem coupé z ajentem policji, który perorował przeciwko Napoleonowi, Palmerstonowi i królowej Wiktorji, za to, że była w serdecznych stosunkach z tym „galernikiem Bonapartem.“ Od niego dowiedziałem się, że za parę dni ma nastąpić pod prezydencją lorda Campbela sąd na Bernarda.

Użyłem wszelkich środków, żeby otrzymać miejsce w sali przysięgłych, chociaż nie było to łatwo, bo zainteresowanie się sprawą było tak wielkie, iż sala nie mogła pomieścić wszystkich zgłaszających się po bilety wejścia na rozprawy. Dzięki jednak znajomym udało mi się otrzymać bilet i dostać nawet dobre miejsce, a siedząc obok Polaka mówiącego dobrze po angielsku, mogłem dość dokładnie wiedzieć jak się sprawa toczy.

Sala była tak przepełniona, że świadkowie ledwo mogli przecisnąć się, wezwani będąc przed trybunał. Ponury starzec, lord Campbel, przewodniczył sądowi. Sędziowie przysięgli z największą uwagą słuchali zeznań francuskich świadków, których publiczność traktowała z największą pogardą

Pamiętam, jak wprowadzono jakiegoś Francuzika, należącego do tajnej policji, *police secrète* który podsłuchał rozmowę Bernarda z jakimś Włochem w sprawie zamachu. Wystąpiło naprzód czterech młodych adwokatów, którzy mieli prowadzić tak zwane „cross questionement.“ Jest to rodzaj indagacji, nadzwyczaj niedogodny dla nie obyłego z sądami, bo zaledwo odpowie świadek na jedno zapytanie, kiedy mu drugi adwokat robi już nowe, wyciągnięte z pierwszej odpowiedzi, a zaledwo odpowie na to, trzeci mu zadaje inne, tak, że czasu nie ma do opamiętania się, do zebrania myśli, do porachowania się ze słowami. Każdy nieprzywykły do podobnej procedury natychmiast traci kontenans, i tak zbija się z tropu, że często zaczyna Bóg wie co odpowiadać. Gdy wprowadzono ajenta, pierwszy z adwokatów zapytał go:

— Kto pan jesteś? proszę powiedzieć imię, nazwisko i zatrudnienie.

— Jestem Jan Massot, ajent tajnej policji.

Drugi adwokat: Co to ma znaczyć »*tajna policja*,« my tego w Anglji nie znamy.

— Jest to instytucja stworzona dla dobra państwa, dla śledzenia czy kto nie targa się na spokój panującego i nie myśli o zamąceniu publicznego porządku.

Trzeci adwokat: — Jakież są jego obowiązki?

— Powinien przysłuchiwać się opinji publicznej, dowiadywać się czy nie ma gdzie jakich spisków i wskazywać rządowi ludzi niezadowolnionych i niebezpiecznych.

Czwarty adwokat: — Więc pan jesteś po prostu szpiegiem.

Ogólny śmiech w sali. Przewodniczący dzwoni.

— Panie Prezydencie — woła świadek — nie pozwalaj pan obrażać mnie adwokatowi.

— Upraszam pana adwokata, mówi przewodniczący, ażebyś w pytaniach nie używał wyrazów mogących obrazić świadków.

Adwokat idzie spokojnie do ławki swojej, bierze z tamtąd dykcjonarz i czyta głośno: „The spay," szpieg, t. j. człowiek podsłuchujący co inni mówią lub robią, ażeby z tego zrobić użytek." Panie prezydencie, stosownie do opowiadania świadka o jego zajęciach, użyłem odpowiedniej nazwy, więc za to obrażać się nie powinien.

— A więc panie szpiegu — rzekł ponownie zwracając się do ajenta, — cóż pan widziałeś i co pan słyszałeś?

— Przechodząc, pode drzwiami dra Bernarda usłyszałem rozmowę — zaczął ajent czerwony ze złości...

— Zacząłeś więc podsłuchiwać, podpowiedział mu drugi.

— Tak jest, zacząłem słuchać, żeby...

— Widzisz więc pan, iż nazwawszy pana szpiegiem, nie uchybiłem prawdzie.

Śmiech ogólny w sali.

Prezydent znowu dzwoni: proszę nie przerywać świadkowi.

— Doktor Bernard mówił, że szkoda, iż Orsini wziął tak mało bomb z sobą...

Pierwszy adwokat: pan szpieg robi takie ważne zeznania, że potrzeba go zaprzysiądz.

Drugi adwokat: Przepraszam —ludzi zajmujących się takiem niemoralnym rzemiosłem jakim jest szpiegostwo, zaprzysięgać nie można, bo tacy ludzie nie posiadają sumienia: nie mają Boga w sercu.

Zaperzony ajent objawia, że w obec takich grubjańskich uwag, więcej świadczyć nie będzie. Homeryczny śmiech w sali. Ajenta tajnego odprowadzają do izby świadków. Po drodze lud stojący około drzwi nie szczędzi mu kuksańców ze wszystkich stron, tak, że francuzik wykrzykuje co chwila.

Po przesłuchaniu jeszcze kilku świadków, których wypytywano w podobny sposób, wystąpił obrońca Bernarda z mową, która trwała prawie całą godzinę. Obrona była niezmiernie oryginalną.

— „Panowie przysięgli! W akcie oskarżenia powiedziano, że przy aresztowaniu doktora Bernarda znaleziono pod łóżkiem jego list, dowodzący wspólnictwa jego z Orsinim, Pietri, Rudio i Gomezem, a w sąsiednim pokoju całą pakę bomb Orsiniego. Otóż, moi panowie, podobne błahe dowody mogą służyć do obwinienia człowieka i zgubić go chyba we Francji, ale nie w Anglji, gdzie każdego chronią ludzkie prawa, a nie łaska despoty"...

Brawo! brawo!... wrzeszczy sala. Prezes dzwoni i prosi, ażeby nie przerywano mówcy.

— „Panowie! Każdy z nas może otrzymać list od jakiego przestępcy, ale czyż to może służyć za dowód, że przyjmował udział w zamachu, czy to przeciw panującemu czy przeciw prywatnej osobie? Dzięki Bogu, żyjemy w Anglji, gdzie obwinienie człowieka na podobnej podstawie jest prawdziwem niepodobieństwem"..

— Brawo! brawo!—woła całe audytorjum...

— „A to obwinienie, czy można brać je na serjo? Dla zgładzenia cesarza Napoleona, choć on jest wielki, dość było jednej bomby, bo dwie bomby Orsiniego pozabijały i poraniły sto kilkadziesiąt osób. U doktora Bernarda znaleziono kilkaset takich bomb. Oczywiście więc przeznaczone były do innego celu i jak obwiniony zeznał, przygotował je do przyszłej wojny za niepodległość Włoch. Nie, moi panowie, człowiek nie może być potępiony za to, że pomagał szlachetnemu ludowi do odzyskania niepodległości"...

— Brawo! brawo!...— ze wszystkich stron. Prezes znowu dzwoni.

Przytoczywszy jeszcze kilka argumentów podobnego rodzaju, adwokat siada zadowolniony z siebie i z publiczności, a ta ostatnia z siebie i z niego.

Prezydujący zadaje pytanie sędziom przysięgłym: „Czy winien jest doktor Bernard, iż należał do spisku Orsiniego na życie Napoleona III?"

Przysięgli idą na ustęp. Po półgodzinnej naradzie wracają na swoje miejsca; publiczność czeka wyroku z widocznym niepokojem. Przewodniczący sądu przysięgłych wstaje, kładzie rękę na sercu i głośno mówi: „na giltig" — nie winien.

Potrzeba było wtedy widzieć co się działo w sali. Krzyk, hałas, zadowolenie było tak wielkie, że całowano sędziów przysięgłych jak gdyby uwolniony był synem, ojcem lub bratem każdego a doktora Bernarda wyniesiono z sali na rękach na ulicę, a tam podchwycono go znowu i grono ludzi nieznajomych zaniosło go do jednej z lepszych restauracyj, gdzie uraczyło sutym obiadem, polewając każdą potrawę nietylko porterem, ale i szampańskiem, które nawet w chwili gniewu na Francję, lubi każdy Anglik.

Na drugi dzień afisze rozlepione na wszystkich rogach ulic głosiły, że na Redgent Square, w sali na dole, doktor Bernard będzie miał publiczny odczyt „o *wyrabianiu bomb Orsiniego*." Sala była przepełniona, a prelegent oprócz oklasków zarobił sporą kwotę pieniężną.

Policzek otrzymany z drugiej strony kanału La Manche tak rozgniewał Napoleona, że o mało nie przyszło do zerwania dyplomatycznych stosunków między Anglją i Francją. Zażegnała nieporozumienie królowa Wiktorja, przybywszy w sierpniu 1858 r. ku wielkiemu niezadowoleniu Anglików do Cherburga, na uroczyste poświęcenie portu wobec cesarza.

Śmierć Orsiniego nie została bezowocną dla ojczyzny.

Napoleon przerażony grożącem mu niebezpieczeństwem ze strony każdego zapaleńca, kierowanego ręką Mazziniego, przystąpił wkrótce do wykonania testamentu Orsiniego, jaki ten umierając zostawił, prosząc aby go doręczono Napoleonowi. W testamencie tym było: „Oswobodź ojczyznę moją, a błogosławieństwo dwudziestu pięciu miljonów obywateli będzie ci towarzyszyć w życiu i po za grób."

W 1859 roku Włochy otrzymały od Napoleona w podarunku Lombardję.

Z HEINE'GO.

Był sobie król, miał śnieżny włos
I barki pochylone;
Staruszek król przy schyłku lat
Wziął sobie młodą żonę.

Był sobie paź, miał lniany włos,
Myśl smutna mu do głowy
Nie przyszła nigdy; nosił on
Jedwabny tren królowej...

Smutno się kończy piosnka stara,
Słuchajcie jednak dalej;
Musieli umrzeć — on i ona...
Zanadto się kochali.

Czesław.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Nareszcie spisaliśmy się razem z domowemi użytkowemi zwierzętami, urodzonemi przed północą z 31. grudnia 1880 r. na 1. stycznia 1881 r. a raczej *oznajmiliśmy się* w karcie na ten cel doręczonej. Otóż jeżeliśmy się źle spisali, niech odpowiedzialność za taki czyn spadnie na c. k. odnośne organy, które nam tak jasno i dobitnie zredagowaną instrukcję przygotowały. Najprawdziwszy z krwi i kości Galicjanin, który abstrachuje, derymuje, adoptuje, płaci po guldenowi, ma potrzeb i tym podobne praktykuje wyrażenia, wziął się za głowę, gdy zaczął czytać ową instrukcję i zobaczył przed sobą arkusz z rubrykami, które mu wypadło zapełnić. Rzeczywiście można zwątpić o własnej logice i znajomości przyrodzonego języka, gdy się zacznie czytać takie wyrażenia jak np. ludzie żyjący pojedyńczo, współuczestnicy mieszkania, ich nazwiska i znaczenie, ludzie zostający w służbie pod bronią, trzymający mieszkanie, wychowawcy, wychowawczynie, podnajemcy mieszkania itp. A cóż dopiero jak się przyjdzie rozważać swojszczyznę, tubylców, język który się używa w zwykłem obcowaniu, powołanie i gałęź powołania, tudzież stosunek w jakim osoba jest czynna w zawodzie lub zarobku, to już doprawdy głowa pęka, zwłaszcza, jeżeli oznajmujący *czuje swoją obecność przemijającą*...

Przepraszam czytelników, nie mogę dalej przytaczać słów języka urzędowego, boję się albowiem żebym was i siebie nie wprowadził do wieży Babel, z której musielibyśmy się rozejść w różne strony świata i założyć nowe narodowości z nowym kompletnie językiem.

Jeżeli posłowie i dzienniki nasze upominają się wciąż o prawa narodowego języka, zatem i c. k. władze nasze składające się z polskich

ędników, powinnyby więcej dbać o czystość o języka, i wszelkie tłumaczenia ustaw i rozrządzeń z niemieckiego powierzać osobom znaym dokładnie swój ojczysty język, a nieposiłjącym się tylko słownikiem, bez znajomości cha naszej mowy. Tęż samą uwagę robiliśmy przy tłómaczeniu ustawy kwaterunkowej, toż no dzieje się z drukami pocztowemi, a teraz ów mamy nową edycję na owych arkuszach najmienia, które bodajby raz ostatni oznajmiszanownemu ich referentowi, żeby się już ęcej nie popisywał.

Dziwna rzecz, jak publiczność nasza ma swoim charakterze sporą dozę przekory i edy zaczyna cenić ludzi i rzeczy gdy wie, że niedługo utraci. Dopóki p. Dobrzański był rektorem teatru, na przedstawieniach bywały stki, teraz gdy Rada fundacji Skarbkowskiej wierzyła od Wielkiejnocy teatr p. Miłaszewemu, — miejsca są prawie codzień zajęte. Czyto miała być manifestacja na korzyść p. Dorańskiego, czy chęć nasycenia się przedstaeniami aby później pofolgować sobie w krytyce i zrzędzeniu? — zobaczymy.

A propos tego zrzędzenia, zanotować musifakt nie bardzo licujący z naszą dojrzałością lityczną, a tym faktem są różne zdania i uwanad postąpieniem hr. Ludwika Wodzickiego przyjęciu gubernatorstwa Banku dla krajów. głów — tyle nieproszonych i nieuprawnioch opinii wtedy, kiedy jeszcze nowy gubertor nie był w możności faktami pokazać czy ły o nim mogą mieć jakąbądź podstawę. Dla o też były marszałek krajowy żegnając w tych iach urzędników i członków Wydziału krajogo, starał się objaśnić dokładnie przyczyny, óre go do opuszczenia tej posady znagliły, nawawszy przypisywane mu intencje *płaskiemi i nolubnemi*. Zapewne, że wyrażenie to może dobitne, jak na mowę publiczną, jednak da usprawiedliwić pewnego rodzaju rozdrażnienm, którego nawet i dystyngowane osoby rzedz się nie potrafią. W mowie swej hr. Woicki podniósł także i *inne przyczyny*, które go ewoliły do przyjęcia gubernatorstwa, a o któch obszernie rozwodzić się nie myśli. Otóż na *inne przyczyny* kładziemy największy nacisk czekujemy ich skutków, daj Boże aby tylko kraju dodatnich, albowiem nie chcemy wyraaia tego uważać jako frazes retoryczny, bez bszego politycznego znaczenia.

Uroczystość pożegnania odbyła się w wielj sali Wydziału krajowego, wobec całej korracji urzędników i funkcjonarjuszów podległych adzom autonomicznym. Zastępca marszałka p. taw Pietruski, w wyrazach pełnych prostoty rawdy, oświadczył szczery żal obecnych, że przychodzi żegnać zwierzchnika, który na wszechny szacunek w kraju zasłużył, a dla tytucyj krajowych starał się być użytecznym. słowach p. Pietruskiego i w dźwięku jego osu znać było serdeczne rozrzewnienie, na które Wodzicki również odpowiedział wzruszony, zwawszy mówcę prawdziwym swoim przyjalem. Z urzędników Wydziału odszczególniom został p. radca Edmund Mochnacki, którego arszałek zapewnił o swej niezmiennej życzliości, polecając się również jego pamięci.

Zapewne, że hr. Wodzicki za krótko był arszałkiem krajowym, aby działalność jego ogła dać wyraźne już teraz owoce, jednak nie można mu odmówić zasług, jakie położył choćby w odrodzeniu szkoły wyższej rolniczej w Dublanach, będącej już dziś na takiej stopie pod względem zgromadzenia sił naukowych, że od kraju tylko zależy, aby znaczenie jej i pożytek stały się dla rolnictwa krajowego prawdziwie pożytecznemi. Utworzenie biura melioracyjnego i rady górniczej, powstały także za jego inicjatywą, a choć istnienie ich trwa dopiero lat parę, jednakże znać, że zdołały zainteresować wykształceńszych rolników naszych, którzy z nich korzystać chcieli. — W sytuacji takiej, w jakiej się znajduje Galicja, gdzie wszystko trzeba na nowo stwarzać, a do tego namawiać i ośmielać — nie od razu dadzą się zobaczyć i ocenić rezultaty prac w tym kierunku podejmowanych. Szanujmyż więc te pierwsze początki działalności ludzi dobrej woli, i nie zrażajmy ich na każdym kroku. Jesteśmy tylko ludźmi, a każdy człowiek dzierżący nawet wysoką władzę, również potrzebuje zachęty i uznania, a nie złośliwej krytyki i podejrzeń, które rozgoryczają i zniechęcają. — Zawsze byliśmy i jesteśmy dalekimi od wszelkich stronniczych adoracyj, lecz potępiamy zawsze tę zbytnią pochopność do poniewierania zasługą, choćby ta ograniczyć się miała do dobrych i uczciwych tendencyj, których niestety tak u nas mało. Cierpliwości i umiarkowania w sądach, a zarazem poszanowania i karności nam potrzeba dziś może więcej niż kiedykolwiek; więc baczność panowie! ściśnijmy szeregi, a nie luzujmy, bo w zgodzie siła!

KRONIKA ODKRYĆ i WYNALAZKÓW.

— Czytelnicy przypomną sobie ile przed rokiem narobiła hałasu lampa elektryczna Edisona. Pisano, że Edison rozwiązał ostatecznie kwestję elektrycznego oświetlenia, że jego lampa pali się wiecznie, że kosztuje tylko około 50 centów i t. p.

Ale po tym świetnym fajerwerku nastała ciemność. Lampy wysławiane jako cud świata zagasły i Edison doznał niepowodzenia.

Niepowodzenie to jednak bynajmniej go nie zraziło; pracował dalej i teraz znowu ogłasza, że zapalił „nieodwołalnie po raz ostatni“ lampę przyszłości.

Nowy ten wynalazek nie wiele jednak różni się od poprzedzających; główna rożnica polega na użyciu węgla z pewnego gatunku trzciny bambusowej do wyrobienia podkowy żarzącej się i świecącej pod wpływem elektryczności, gdy dawniej ta sama podkowa była zrobioną z papieru. Wady poprzedniego wynalazku nie zostały usunięte, koszta lampy podwoiły się, a nadto podkowa jest za kruchą do domowego użytku.

Pomimo to, Towarzystwo elektrycznego światła Edisona, które niejako wydzierżawiło wynalazcę, ogłasza, że oświetli całą Amerykę w sposób tak świetny, że Amerykanie ogłuchną i oślepną. Nadto ponieważ Towarzystwo nie myśli pozbawiać zarobku słońca, więc w dzień będzie poruszać każdemu, co zapłaci. maszynę do szycia lub cokolwiek bądź innego. Należy jeszcze dodać, że maszyny i druty do lamp elektrycznych bardzo są niebezpieczne. W Manchester i na pokładzie okrętu „Liwadja“ zostało zabitych dwoje ludzi, którzy dotknęli się drutów niedostatecznie osłoniętych.

— Ameryka pragnie przodować światu i w dziedzinie telegrafów. W Bostonie zawiązało się towarzystwo, zamierzające założyć szczególnego rodzaju linę podmorską.

Lina ta, ma wytwarzać działanie kilka razy większe od dotychczasowych, a to tym sposobem, że na dnie morskiem urządzone zostaną stacje, mające wzmacniać słabnące prądy. Składać się one mają z kopuły metalowej, zawierającej automatycznie pracujący przyrząd telegraficzny, mogący trwać lat 1000. Projektowane urządzenie jest bardzo kosztowne. Drut ma kosztować pięć miljonów dolarów, a że zastąpi cztery druty, więc wart jest właściwie 20 miljonów.

— W ostatnich czasach uczyniono w Niemczech kilka mniejszych, ale za to ogólniejszego znaczenia wynalazków. W Lipsku p. Gentili pozyskał patent na szybko piszący przyrząd, podobny do fonografu, ale wprawiany w ruch nie drganiem cząstek powietrza, tylko wprost ruchem organów mowy, przekształconym za pomocą przewodnika na kropki i kreski łatwe do odczytania. Aparat tym sposobem zapisuje dźwięki, ale mówiący musi w tym celu trzymać w ustach sztyft metalowy.

Pp. A. Meyer i Fr. Mr. Wolff z Berlina wymyślili sposób wykrycia górnika otwierającego w niewłaściwym czasie lampę bezpieczeństwa i tym sposobem narażającego życie kolegów. Meyer zamyka lampę laseczką szklanną, którą potrzeba złamać, aby otworzyć lampę. Urządzenie Wolffa jest prostsze jeszcze, polega bowiem na otoczeniu lampy paskiem papieru, który zostaje rozdarty jeżeli lampę otwieramy.

Nakoniec, zajmujący się balsamowaniem ciał p. Wickersheimer w Berlinie wynalazł płyn, najdoskonalej przechowujący mięso w ciągu kilku tygodni i nie pozbawiający go bynajmniej właściwego smaku, co właśnie dotąd osiągnąć było najtrudniej.

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Zbiór pamiętników do historji powstania polskiego z roku 1830—1831. Lwów. Nakładem dra Tomasza Rayskiego. 1880. Zeszyt 1 str. 160.

Do dziejów powstania listopadowego mamy już liczną pamiętnikową literaturę. Mimo tej obfitości pamiętników, jeszcze ciągle pojawiają się nowe, bo żyje jeszcze garstka współczesnych świadków i uczestników, z której każdy radby przyczynić się do rozświecenia owoczesnych stosunków. Słyszeliśmy z ust wielu ludzi, że tego dobrego już zadużo; że nas zasypią nic nieznaczącemi przyczynkami pamiętnikowemi. Tak sądzić mogą tylko ludzie krótkowidzący lub złej woli, ludzie, którzy nigdy nie przypatrzyli się pracy historyka i nie wiedzą, że dla niego mnogość materjałów nie jest ujmą w pracy, jej ale zpotężnieniem: że dla niego każdy najniepozorniejszy pamiętnik jest skarbnicą i motorem do snucia myśli; że pamiętniki są podwaliną, na której on buduje okazały, wykończony, potężny gmach pisanej historji narodowej. Materjału dziejowego nigdy nie może być za dużo, im on liczniejszy, im różnorodniejszy, tem dzieje dadzą się zbadać gruntowniej, a całokształt historycznego przedstawienia zyskuje na dosadności i prawdzie. Czy zastanowili się narzekający na powódź pamiętników, nad tą okolicznością, dlaczego dzieje nasze 17go i 18go wieku są dokładniej obrobione jak dzieje np. Łokietka i Kazimierza Wielkiego? Zapewne nie; gdyż musieliby odpowiedzieć sobie, że historycy odtwarzają dawniejsze dzieje li na podstawie nielicznych urzędowych dokumentów,

nowsze zaś potrafią z łatwością skreślić oparci nietylko na urzędowych aktach, ale — co ważniejsze może — na zapiskach współczesnych ziemian, którzy na rzeczy mogli patrzeć fałszywie. przesądnie, ale w każdym razie wiernie, bo mimowiednie, oddali ducha czasu i ducha społeczeństwa wśród którego żyli. Pamiętniki są więc bezsprzecznie cennym materjałem do historji, a ważność ich rośnie stosownie do większej lub mniejszej wiarogodności, o której przekonywa się historyk przez porównanie jednych z drugiemi.

Do dziejów listopadowego powstania mamy liczne urzędowe dokumenta; mamy sprawozdania osobistości stojących wtedy na czele narodu; mamy głosy wodzów, usprawiedliwiające swoje czynności podczas narodowej walki; mamy usiłowania krytyczne służące do rozpoznania taktycznych i strategicznych poruszeń armji; brakowało nam drugiego odgłosu — ogółu narodu. Słyszeliśmy wielkich, przychodzi nam wysłuchać małuczkich. W pamiętnikach, jakie się w najnowszych czasach pojawiły i jeszcze pojawiają, odczuwamy to gorące tętno narodu, jakiego nieczuliśmy w pamiętnikach uznanych znakomitości. Historyk, kreśląc kiedyś dzieje listopadowej walki, zaczerpnie daty z aktów urzędowych, ze sprawozdań naczelników, ale ducha czasu, ducha narodu pozna tylko z pamiętników ludzi niesławnych, a sądząc dzieje, będzie musiał zaznaczyć i podnieść bohaterstwo i poświęcenie narodowego ogółu, a napiętnować małoduszność naczelników i w ogóle tych, którzy z narodowego zapału korzystać nie umieli, czy nie chcieli...

Do rzędu pamiętników, które dla historyka będą kiedyś cennym materjałem, można sumiennie zaliczyć „Zbiór pamiętników“, którego pierwszy zeszyt mamy przed sobą. Mieści on w sobie zapiski ludzi, którzy w dziejach listopadowego powstania nie odegrali wprawdzie tytułowych ról, ale jako ludzie zacni, wykształceni i inteligentni umieją bez gorączki a z prawdą przedstawić fakta, jakich byli świadkami, a równocześnie oddać wiernie uczucia i wrażenia, jakie podczas roku 1831 poruszały masami narodu. Pisane one bez frazesów i literackiej wykwintności stylu, ale w tem może właśnie leży tajemnica ich doniosłości i wartości; kryje się przyczyna, że od początku do końca czyta się je z rosnącem zaciekawieniem, a natężoną uwagą.

W zeszycie pierwszym mieści się urywek ze wspomnień Bartkowskiego i dopełniające go wspomnienia ucznia uniwersytetu, które razem wzięte, rzucają ciekawe światło na wypadki przedpowstaniowe w Warszawie i charakteryzują postacie profesorów w stosunku do uczni i rządu. Są w tych dwóch urywkach rzeczy nietylko ciekawe, ale nowe.

Wspomnienia Henryka Janki, odnoszące się do dziejów korpusu Dwernickiego, choć krótkie są nader zajmujące, a list ks. opata Nowakowskiego, który redakcja „Zbioru“ przy nich umieściła, nazwałbym arcydziełem, gdyby to było stosownem. Ks. opat, niegdyś podoficer artylerji polskiej, opisuje wzięcie armat nieprzyjacielskich pod Boremlem; a. opis to tak jasny, jędrny, lapidarny, tak oryginalnie, z żołnierskiem zacięciem pisany i zakończony, że mimowoli nasuwa na myśl ów sławny opis bitwy pod Waterloo, który Wiktor Hugo skreślił w Nędznikach; a ma nad hugonowskim tę wyższość, że jest od pierwszej do ostatniej litery historycznie prawdziwym. Połowę zeszytu zajmuje bardzo ciekawy pamiętnik Henryka Bogdańskiego, który wiele zupełnie nowych faktów zawiera, a co się tyczy odtworzenia ówczesnych uczuć i przekonań w niższych warstwach ludu, może być śmiało nazwany jedynym w swoim rodzaju i dlatego z niesłychaną ciekawością oczekiwać będziemy dalszego ciągu w drugim zeszycie, z którego zaraz po wyjściu z druku nie omieszkamy zdać sprawy.

Wdzięczność i uznanie należy się komitetowi obchodu listopadowego, że zajął się wydawnictwem tego „Zbioru pamiętników“; a uznanie to zamanifestujemy najlepiej przez rozebranie między siebie nakładu książki, która nie tylko treścią swoją, ale celem wydawnictwa, przeznaczonego na wsparcie weteranów z roku 1831, zasługuje na to, aby się znalazła w każdym domu polskim. Na pomniki spiżowe dla bohaterów naszych nie stać nas; niechże im pomnikiem będzie wydawnictwo, o którem mówimy. Nie dajmyż upaść temu skromnemu pomnikowi, nie wystawiajmy sobie świadectwa ubóstwa. Pozwolimy sobie na zakończenie przytoczyć słowa śp. Antoniego Szneidra, napisane przed laty a może już dziś zapomniane, choć warte zaiste pamięci: „... gdy sami obojętnie patrzeć będziemy na upadek pomników narodowych lub pomagać własnemi rękami do rozrzucenia ostatnich szczątków wiekowego zabytku, nie troszcząc się o zachowanie dziejowych śladów przeszłości, wydamy sami o sobie wyrok, że — już i nas n[illegible]ma...

W[illegible]. Wdowiszewski.

TEATR.

Od ostatniego naszego sprawozdania, zaszedł fakt nie małej doniosłości dla lwowskiej sceny, nastąpiła — na mocy uchwały Rady administracyjnej fundacji Skarbkowskiej z okazji rozpisania konkursu na objęcie przedsiębiorstwa teatralnego na dalszych lat sześć — zmiana Dyrekcji. Uchylono ofertę dotychczasowego przedsiębiorcy p. J. Dobrzańskiego, a natomiast oddano teatr panu Miłaszewskiemu. A zatem z dniem 17. kwietnia 1881 r. obejmuje dyrekcję ponownie p. Adam Miłaszewski. Nie kierujemy się bynajmniej jakiemkolwiek uprzedzeniem, daj Boże, aby nasza scena pod nowem kierownictwem, jak najpomyślniej się rozwijała, z drugiej strony jednak nie możemy zamilczeć, że takie rozstrzygnięcie konkursu wywołało żywe niezadowolenie w obszernych kołach tutejszej inteligencji.

Publiczność, jak gdyby przejęta jakąś instynktową obawą o dalsze losy teatru w najbliższej przyszłości, jak gdyby chcąc, wobec dopiero zapadłej uchwały, zamanifestować swoje wręcz przeciwne zapatrywanie, bierze od chwili rozstrzygnięcia konkursu tłumny, rzecby można ostentacyjny współudział w przedstawieniach. Ostatniemi dniami trudno było docisnąć się do teatru, a chociaż nie przedstawiano wcale żadnych sztuk nowych, wszystkie miejsca w parterze i prawie wszystkie inne, zawsze były wyprzedane. Leży tu niezawodnie stokroć silniejszy objaw opinji publicznej, aniżeli w owem piśmie z dnia 9. grudnia z. r. 60-ciu „obywateli“ (z których co najmniej 85 procent, jedynie z opowiadania swoich ojców wie o istnieniu teatru lwowskiego) wystosowanem do Rady administracyjnej z prośbą o nadanie teatru p. Miłaszewskiemu.

Na zakończenie starego i rozpoczęcie nowego roku przedstawiono w obu rzeczonych dniach *Quodlibet* w dziewięciu odsłonach, z odmiennym każdego razu programem. Nie wspominalibyśmy wcale o obu tych reprezentacjach, których celem była oczywiście nie sztuka, jeno odświętna zabawka, gdyby nie to że w jednym z numerów *Quodlibetu* t. j. w fraszce scenicznej. „O chlebie i wodzie“, debiutowała w roli Elizy nowa artystka, pani Leontyna Lewicka. Debiutantka przedstawia, o ile można wnioskować z tego jednego występu — wcale obfity materjał, tj. niezwykłą u osób pierwszy raz na obcej scenie występujących śmiałość i swobodę, tudzież wiele rutyny; obok wielu chwil nie będących niczem innem, jak tylko objawami nawet dość egzagierowanej mechaniki artystycznej, dostrzegliśmy przecie także wiele chwil z życia podpatrzonych, stanowiących dowód, że znalazłaby się tam i intuicja, oryginalne, poza szablonem rutyny leżące ujęcie roli, gdyby debiutantka stosowne znalazła kierownictwo. Nadto musiałaby się pozbyć szorstkości głosu i niektórych zmanierowanych ruchów, a co najważniejsza szpetnej wymowy, zbyt często przypominającej że debiutantka pierwsze lata swej artystycznej karjery spędziła w ruskiej trupie pani Romanowicz. Mimo tych wszystkich braków, zwróciliśmy uwagę na panią Lewicką, bo jestto niezawodnie materjał, któregoby nie należało zaniedbywać. Na razie, o ile nam wiadomo, trudno będzie dyrekcji w obec już rychło ekspirującego przedsiębiorstwa angażować panią Lewicką; podobny los czeka także niedawno z powodzeniem debiutującego artystę, pana Hryniewieckiego. Natomiast powrócił z Krakowa p. Fiszer i zaraz wystąpił w jednej z najlepszych swych kreacyj, t. j. w *Safandułach*, serdecznie a gromko przez publiczność witany. Sztuka to dobrze nam znana; nie wchodząc zatem w szczegóły, notujemy tylko, że przedstawienie szło bardzo gładko; jeden pan Zboiński nie mógł się tym razem dostroić do ogólnego djapazonu, gra jego była blada, bez wyrazu, zdradzająca jak gdyby jakieś znużenie, którego artysta nie silił się zamaskować. Wobec tego musimy podnieść z tem większem uznaniem grę panny Wisnowskiej, która, pomimo że najwidoczniej niedysponowana, łamała się zwycięzko sama z sobą, to też i utrzymała się szczęśliwie na tej wyżynie artystycznej, na jakiej stanęła w dawniejszych przedstawieniach tejże sztuki. Pani Aszperger, pp. Zamojski i Fiszer byli wyborni; dobrze odegrali pomniejsze rolki pp. Podwyszyński, Pieniążek i Walewski.

Z dramatu ludowego „Pod ziemią“ przez Edwarda Błotnickiego, odegranego po raz pierwszy dnia 5. b. m. musimy odłożyć nasze sprawozdanie dla braku miejsca do przyszłego numeru. Tymczasem zaś jeszcze podzielimy się wiadomością, iż przygotowania do pięknej operetki »*Madame Favart*« postępują tak raźno, że do dwóch tygodni ujrzymy ją już prawdopodobnie na scenie; przedstawienia zaś nowego jednoaktowego dramatu »*Na poddaszu*« Aurelego Urbańskiego, która to sztuka już wkrótce umiała być odegrana na benefis p. Zamojskiego, zabroniła c. k. policja.

R. St.

RACHUNEK SĄSIEDZKI.

OBRAZEK.

Z panem Kajetanem żyjemy jak dwaj ro-
eni bracia, a choć on przeniósł się o trzy mile
ej do majątku żony i nie widujemy się tak
ęsto, to zawsze przyjaźń sąsiedzka trwa niby
opoka, na której Piotr św. zbudował kościół.
zyznaję, że do utrzymania tej opoki przyczy-
ła się najskuteczniej filozofja żony mojej, która
ciągle kładła w uszy: „Wojtusiu, chcesz z
iadami żyć w zgodzie — unikaj interesów.“
e przeszłego roku spotykamy się raz na jar-
rku z panem Kajetanem.

— Masz sąsiad dużo jęczmienia?

— Mam.

— Sprzedaj mi sto korcy na słód.

— Dobrze — odpowiadam, zapomniawszy
przestrogach żony.

I przyszła zgoda prędko; po ile? — po
e. Na wagę? — na wagę. Z odstawą? — z
stawą.

Idzie pierwszy transport 25 korcy. Jestem
zy wadze, a że worki nierówne, więc panie
brodzieju ważymy po pięć naraz. Piszę rachu-
k: tyle a tyle funtów, potrącając wagę worków—
staje na czysto tyle.

Wracają furmanki. Jasiek fornal podaje list,
w liście pan Kajetan pisze: „Szanowny sąsie
e, kochajmy się jak bracia, rachujmy się jak
dzi.. Sam byłem przy odbiorze, brakuje na
ym transporcie ośmdziesiąt sześć funtów...

— Ki djabli — myślę sobie — sam byłem
y wadze, na każdej partji przeważało parę
ntów, worki dobre, a za uczciwość i wierność
ka dałbym szyję.

Rusza drugi transport, każę dosypywać po
ncie więcej na worku, bo przecież nie idzie mi
te głupie półkorca jęczmienia, ale o sąsiedzką
telność i honor obywatelski, żeby człowieka
mieli za takiego...

Znowu jest odpis, znowu rachunek, i znowu
akuje coś siedmdziesiąt kilka funtów.

— Hultaje ukradliście! — krzyknę na Jaśka,
jego szczęście, że nie mam nic w ręku, bobym
był lunął, taka mię wściekłość opanowała.

Chłopaczysko się sumituje, przysięga, widzę
nawet stają mu w oczach, ale mnie to nie
zrusza; posyłam po wagę do księdza probosz-
a — sprowadzamy, rychtyk pasuje z moją!

— A byłeś przy wadze? — pyta go żona,
óra lubi się do wszystkiego wścibić, zwyczajnie
kobieta.

— Nie byłem, bo oni tam sami ważyli w
downi.

— A pan Kajetan był?

— Pono był...

— Nic nie pomoże, muszę ja sam pojechać.
tem jest coś... Przecie tylu się ludziom waży
kupcom i na kolei, a nigdy nie brakowało.

— Słuchaj Wojtusiu — mówi żona — przy
zecim transporcie ja sama dopilnuję wagi.

— Cóż to ja się już nie znam, czy co! —
knę.

— No, no, no, co ci to szkodzi, pozwól, a przekonasz się, że nie będzie brakowało.

Była, napisała rachunek jak się należy, a kiedy przychodzi odpis od Kajetana, ja się już nie mogę wstrzymać od śmiechu.

— A co Maryniu, co co? — mówię do imości, która mi na list przez ramię zagląda, zwyczajnie jak ciekawa kobieta —co, nie brakuje? czytaj: ośmdziesiąt dwa funty...

— Ile, ile?

— No, ośmdziesiąt dwa funty! i gdzież jest twój babski rozum i dozór?

— To dobrze — odpowiada na to z flegmą — dobrze się wyważyło. Nietylko że nic nie brakuje, ale jest więcej 73 funty.

— Weź-że moja duszko okulary i czytaj— rzeknę z ironją. Brakuje, brakuje ośmdziesiąt dwa funty... Że też wam trzeba wszystko łopatą kłaść w głowę.

— Wiem, wiem — odpowiada drwiąco — prawda, brakuje 82 funty, ale to dobrze, bo powinno brakować 160, tak kazałam naważyć.

— Jakto? poważyłaś się...

— Poważyłam, i powiem ci prawdę umyślnie, aby się przekonać.

Otworzyłem gębę od ucha do ucha.

— Masz, przerachuj moją notatkę...

Przeliczyłem; jak raz powino być o 160 funtów mniej, a on powiada, że tylko 82... A niechże cię miljon weźmie... Prędzejbym się pozwolił powiesić, niż pomyśleć, że Kajtuś.. Ot miejże tu wiarę w [illegible] i spuść się na kogo...

— Taki świat [illegible] — powiada Marynia— inaczejby ludzie nie robili majątków, a wiesz przecie że pan Kajetan robi...

Chciałem natychmiast jechać i panie dobrodzieju napluć mu w oczy, ale żona powiada, poczekaj, ja mu sama napiszę przy ostatnim transporcie...

Więc jeszcze poszła jedna partja w ten sam sposób o 160 funtów mniej niż stało w rachunku, a sąsiadowi brakowało tylko siedmdziesiąt sześć funtów teraz.

— Masz, przeczytaj list jak mu napisałam— rzecze imość, podając mi swoją bazgraninę.

„Łaskawy sąsiedzie dobrodzieju!

Dobrze mówi przysłowie, że kobiety mają długie włosy, a rozum krótki, dlatego racz mi pan darować mimowolną pomyłkę w obrachunku jęczmienia, jakiej się na jego niekorzyść dopuściłam. Mąż nie był przy wadze dwóch ostatnich transportów, bo nie miał czasu, więc ja po kobiecemu jak zaczęłam rachować i pisać, tak podałam raz i drugi o 160 funtów więcej niż było rzeczywiście. Widocznie łaskawy sąsiad nie chciał nas bardzo martwić donosząc, że brakuje tylko raz 82, drugi raz siedmdziesiąt sześć. Bóg zapłać za taką delikatność ze strony sąsiada. Ostatni transport już jest w porządku z dosypką 320 funtów, spodziewam się, że teraz rachunek się wyrówna i będziemy jak dawniej dobrymi sąsiadami..“

Na to pan Kajetan odpisał bardzo grzecznie, że nie może przyjąć tych 320 funtów, bo pokazało się, że to gorzelany jego w ten sposób manipulował na swoją korzyść; teraz on sam wagę sprawdził, i czuje się w obowiązku przeprosić stokrotnie za taką pomyłkę.

— Bardzo być może — mówię na to do żony — że gorzelany.

— I ja temu chcę wierzyć! — dodała kiwając filuternie głową — ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Albert Wilczyński.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Świeżo ukazała się w odzielnej książce powieść lubionego tyle humorysty Alberta Wilczyńskiego, pod tytułem: „Dla dobra dzieci.“

*** We Lwowie ukazała się obszerna, filozoficzna praca p. Ludwika de Laveaux p. t. „Umysł i jego sprawy.“ Ocenę jej podamy później.

*** Dr. Drygas, profesor gimnazjalny w Pile, napisał i wydał rozprawę pt. „Platons Erziehungs-Theorie“ o której czasopisma niemieckie wyrażają się bardzo pochlebnie.

*** Profesor prawa rzymskiego dr. Teodor Dydyński ogłosił drukiem rozprawę p. t. „Prawo rolne w starożytnym Rzymie.“

W Literaturze naszej przedmiot powyższy po raz pierwszy dotknął pr. D. i na podstawie źródeł w głównych zarysach przedstawił historyczny rozwój praw agrarnych starożytnego Rzymu.

*** W Lipsku u Brockhausa wyszła „Historja literatur słowiańskich“ Pypina i Spasowicza w przekładzie niemieckim Tranapta Pech,

*** W zeszycie za wrzesień czasopisma niemieckiego „Bibliothek der Unterhaltung und des Wissens“ mieści się powieść p. t.: „Królewski wychowaniec“. osnuta na tle życia króla Stanisława Leszczyńskiego.

Rzecz dzieje się w 1725 r. podczas zamieszkiwania tego „filozofa-dobroczyńcy“ w Weisenburgu. Postać i charakter tego króla-tulacza i jego córki Marji, autor w jasnych nakreślił barwach.

*** Zwolennikom etnografji ojczystej polecamy zbiór Pullinga. Nakładem jego wyszło w tej chwili dzieło: „Austrja-Hungary“, skreślone po angielsku przez Kay'a. Są w niem uwagi odzszące się do Galicji.

*** W. Gotha ukazały się dwa pierwsze zeszyty zapowiedzianej oddawna: „Encyclopädie der neueren Geschichte.“
Wydawnictwo pomienione obejmie materjały i do naszych stosunków, lecz nadzwyczaj zwięźle traktowane.

*** Pismo chorwackie „Wienac drukuje obecnie w przekładzie „Listy z podróży“ Henryka Siekiewicza.

*** Kazimierz Zalewski napisał dwuaktową krotochwilę pt. „Kogutowski & Comp.“, którą przeznaczył najprzód dla teatru amatorskiego w Krakowie.

*** Munkacsy maluje obecnie wielki obraz historyczny na temat „Chrystus przed sądem“, obraz ten został już zakupiony za 100.000 franków.

*** Nadworna księgarnia Berlińska zrobiła z Siemiradzkim układ, celem wystawienia przez sześć miesięcy jego „Świeczników chrześcijaństwa“ po różnych miastach Niemiec oraz w Kopenhadze, Amsterdamie i Sztokholmie. Obecnie obraz znajduje się w Dreznie.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.